

Newsweek POLITYKA

ROZMOWA Z JANEM KLATĄ

Lustro w lustrze

Zadziwiająco łatwo przejęliśmy mechanizmy zawiści i resentymentów, które PiS rozbudziło u swoich wyborców. Okazuje się, że kompletnie nie jesteśmy na nie zaszczepieni – mówi **JAN KLATA**, reżyser teatralny

ROZMAWIA ALEKSANDRA PAWLICKA ZDJĘCIA MAREK SZCZEPAŃSKI

NEWSWEEK: Zaszczepiony?

JAN KLATA: Zależy, o którą zarazę pytasz. Tę paraliżującą życie od roku czy tę, która draży nas od sześciu lat? A może po prostu o czerwoną zarazę? Inna sprawa, że pandemia zadziałała jak emulgator smaku, zmultiplikowała strach i różne procesy przyspieszyły. To, co dobre, stało się na wagę złota, a to, co marne, okazało się całkiem złe. Wyreżyserowałem w czasie pandemii spektakl o zarazie. W Teatrze Nowym w Poznaniu przygotowaliśmy „Czerwone nosy” Petera Barnes. Rzecz o dżumie w średniowieczu, gdy jeden z księży wpada na pomysł stworzenia zakonu klaunów Chrystusa mających umilać ludziom umieranie. Kardynał zauważa bowiem, że 80 proc. kleru już nie żyje, a na pogromy zostało zaledwie kilku Żydów i nie ma jak ogniskować strachu ludzi. Próby do tego spektaklu robiliśmy przy akompaniamencie wyjących karetek, które przejeżdżały obok teatru do tymczasowego szpitala na terenie targów poznańskich. Ledwo rozpoznawałem aktorów zza masek i przyłbic. Miałem wrażenie jakiegoś nowego Czarnobyła.

W „Czerwonych nosach” zaraza jest niewinna w porównaniu z mrokiem następującej po niej normalności.

– Bo władza wykorzysta każdy kryzys, aby powiększyć swoje wpływy, przejąć więcej przywilejów i narzucić ostrzejsze represje. Pandemia to wprost idealna sytuacja do zagarniania instytucji, które mogą się przydać, podporządkowywania sobie różnych dóbr i dystrybuowania praw oraz wolności.

A wszystko w imię ochrony zdrowia, bezpieczeństwa i życia.

– Jeśli będziecie grzeczni i o czwartej w nocy na pustej ulicy będziecie nosić maseczki, to my się zastanowimy, co wam odmrozimy. Może otworzymy wam muzea, a może baseny albo cmentarze? A może jeszcze łaskawa korekta w trybie last minute? Zdarzało się, że przerywaliśmy próbę w teatrze, aby wysłuchać, czy nas otworzą od jutra, czy już otworzyli od przedwczoraj, czy jeszcze potrzymają pod kluczem do świętego Dygdy, co go nie ma nigdy. Pandemia to dar losu dla władzy. Wydawało się, że ją pokona, ob-

nażając jej niekompetencję. Owszem, obnażyła, ale jednocześnie jak w systemie turbokapitalistycznym, zyski okazały się ich, a długi nasze. Sukcesy ich, a koszty nasze.

Zaraza trzyma się mocno?

– Rozmawiamy o nich czy o nas? Bo jeśli o nas, to zaraza objawia się lękiem, który kończy się wzajemnym zagryzaniem. Staliśmy się jak zwierzęta, które żyjąc na wolności, potrafią radzić sobie z przemocą wpisaną w przetrwanie. Natomiast uwięzione zaczynają skakać sobie do gardeł i się wykrwawiać. René Girard, filozof antropolog opisujący mechanizmy przemocy, mówił wprost: przemoc jest jak zło, nie da się jej zlikwidować,

**”Pandemia
spotęgowała ucieczkę
od rzeczywistości,
ucieczkę w bańkę.
Sprawiła, że
funkcjonujemy
wyłącznie wśród ludzi,
którzy myślą tak jak my**

trzeba ją tylko odpowiednio skanalizować i tworzyć jak najmniej okazji, żeby eksplodowała w sposób niekontrolowany. Pandemia zamknęła nas w klatkach autoizolacji.

I wyzwoliła przemoc?

– Zadziwiająco łatwo przejęliśmy mechanizmy zawiści i resentymentów, które PiS rozbudziło u swoich wyborców. Okazuje się, że kompletnie nie jesteśmy na nie zaszczepieni. Wystarczy stworzyć odpowiednie warunki, a wtedy jak w słynnych eksperymentach dotyczących przemocy inteligencji mimo wiedzy i przeczytanych książek wchodzi z łatwością w rolę prześladowców.

Chcesz powiedzieć, że opozycyjna strona wchodzi w rolę prokuratorów Ziobry?

– Łatwo zapominamy o domniemaniu niewinności, o tym, że może trzeba poczekać na zbadanie sprawy, wysłuchać świadków, a nie urządzać polowania na czarownice. To, co stało się w środowisku artystycznym, jest tego najlepszym przykładem.

Mówisz o teatralnej aferze „metoo”?

– Mówię o przemocowości „walki z przemocą”. Niewątpliwie tragedie młodych ludzi, prawdziwych ofiar nadużyć, zostały utopione w fali hejtu i fejsbukowych linczów. Z wyższością potępiamy u innych język nienawiści, a sami tak bezrefleksyjnie pozwalamy się nim infekować. Nieprzypadkowo środowiskowe szambo wybiło właśnie teraz. Od miesięcy jesteśmy pozbawieni możliwości robienia tego, co kochamy, kontaktu z widzami. Poza tym większość artystów nie ma etatów, zabezpieczeń socjalnych. W całej karierze byłem tylko kilka lat na etacie jako dyrektor Starego Teatru w Krakowie. Jestem jak rewolwerowiec, który przyjeżdża do miasteczka, zbiera nagrodę w postaci wyreżyserowanego spektaklu i odjeżdża w zachodzące słońce. OK, nie narzekam, miałem dużo szczęścia w życiu, lubię niezależność, ale nie wszyscy dają radę. Co z postpandemicznymi młodymi?

Nie mają szans?

– Byłem ostatnio na dyplomie studentów wrocławskiej szkoły teatralnej i pomyślałem, że mają przerabiane. Profesorowie biją im brawo z perspektywy rozstawionych co dwa metry krzeseł, nieśmiało gratulują nowej drogi życia, a 90 procent tych młodych nigdy nie wyjdzie na scenę, zresztą nie wiadomo, ile tych scen zostanie. Poziom frustracji jest nieprawdopodobny. Mówię o środowisku aktorskim, ale przecież to problem dotyczący różnych grup zawodowych.

Frustracja uczyniła nas nieodpornymi na nienawiść?

– Lubimy pielęgnować w sobie myślenie, że my, elita intelektualna czytająca Dostojewskiego i znająca historię państwa oraz inkwizycji, niesiemy kaganek oświaty w kontrze do czarnej sotni utrzymywanej w poddaństwie i średniowieczu mentalnym przez wszystkich

Jędraszewskich tego świata. To oni prześladowają Żydów, gejów i emigrantów. A my to sama miłość, która nie wyklucza, oraz wszechcieralność... ale tak naprawdę, gdy stajemy na krawędzi, w niepewności i lęku, sięgamy po te same mechanizmy. Organizujemy samosądy, ulegamy dyktatowi lajków i banów będących współczesnym odpowiednikiem banicji.

Sądzisz, że to problem internetowej bańki?

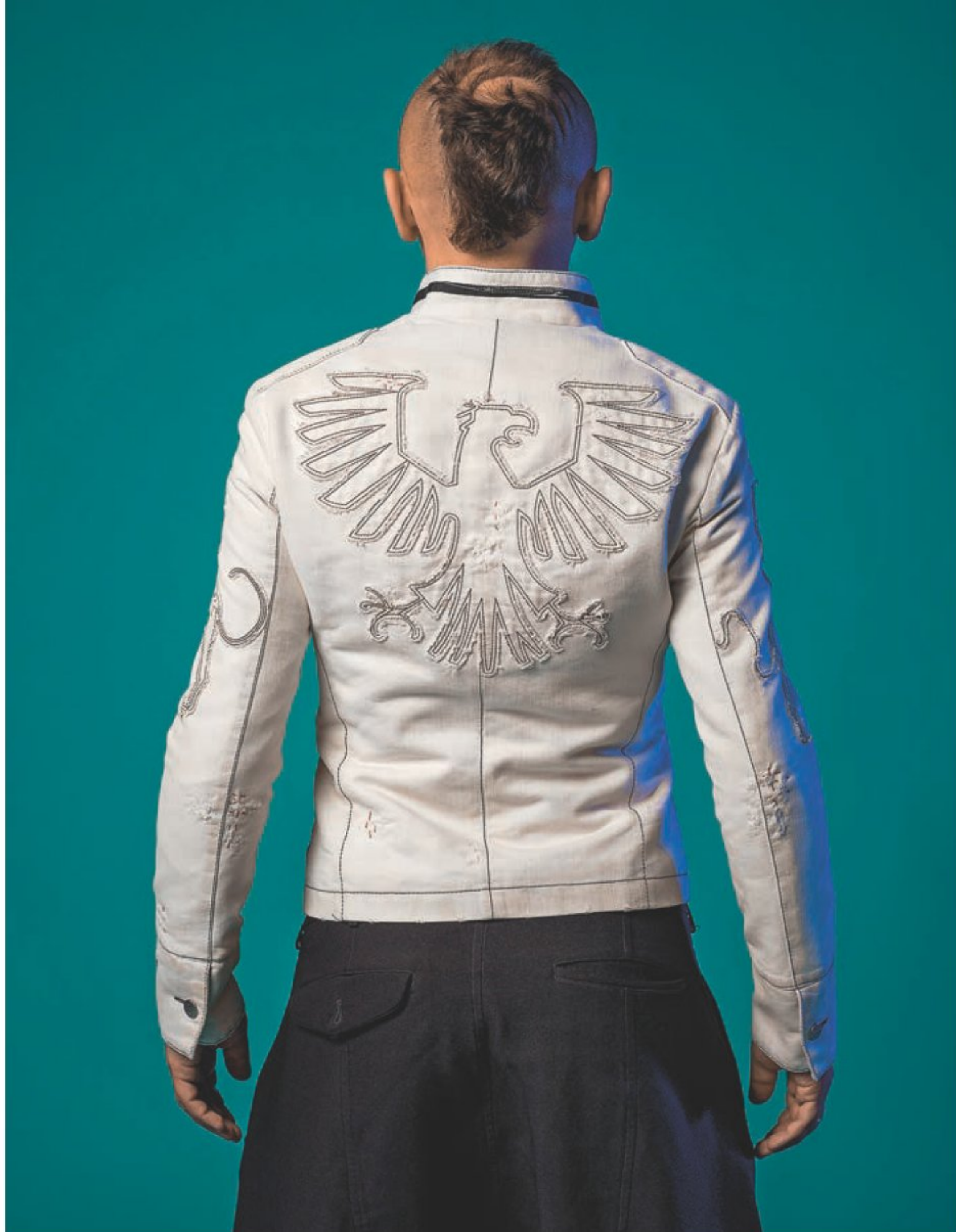
– Nie trzeba wielkich badań, aby wiedzieć, że patrząc sobie w oczy, nie powiemy takich rzeczy, jakie jesteśmy w stanie wysmarować o trzeciej nad ranem w procesie bezkarnego donosu zwanego autowaniem. To, że nie spotykamy się twarzą w twarz od 13 miesięcy, jest tragedią nie tylko teatrów, sztuki i artystów, widzów, ale wszystkich obywateli. Wpadliśmy w komory pogłosowe, w których dostajemy tylko więcej tego, co i tak już lubimy. Mechanizm nagrody, łatwej gratyfikacji w niełatwym czasie, każe nam wyć w ramach naszego stada. Nie ma czasu ani ochoty na niuanse. A wtedy otwarcie się na drugiego człowieka i jakakolwiek rozsądna ocena sytuacji stają się coraz bardziej niemożliwe, jest tylko zapętlanie i radykalizacja do absurdu.

Oślabiamy w ten sposób własną odporność na zarazę?

– Nawet więcej. Wbijamy sobie sami rdzawy nóż w plecy, a przeciwnicy obserwują to z radością. Patrzcie – mówią – to są te elity, które obrzucają się błotem. To czujemy coraz bardziej absurdalne kulturowe wojny o to, czy można jeszcze czytać „Lolite” Nabokova, w jakim trybie skasować filmy Woody’ego Allena i Polańskiego oraz czy to dobrze, że Murzynek Bambo to nasz koleżka? I jak nosić dredy, żeby nikogo nie urazić – oto wyzwania naszej lewicowo-liberalnej bańki. Naprawdę? O to chcemy się bić? Aplikujemy sobie kolejne, heroicznie eskapistyczne szczepionki na wyimaginowane problemy.

Dlaczego tak się dzieje?

– Bo łatwiej się burzy, niż buduje. Gdyby udało się wykończyć tych wszystkich Gesualdów, Kantorów, Nabokovów i Polańskich, to wcale nie znaczy, że powstaną lepsze kompozycje, książki, filmy i spektakle. Teatralnej rewolucji nie robi się



w mediach społecznościowych tylko na scenie. W gębie każdy może być mocny, fejsbuki i tliery zniosą wszystko... A drugiej stronie właśnie o to chodzi. Zgodnie ze starożytną rosyjską zasadą, że jak zwalniamy, to znaczy, że będą przyjmować, nieprawdaż? Rozwalić stare elity, najlepiej ich własnymi rękoma, i zrobić miejsce dla nowych, własnych. Brzmi znajomo.

Sądzisz, że to scenariusz pisany na Nowogrodzkiej?

– Pisany w mrocznych oddechach sfrustrowanych dusz pod różnymi adresami, natomiast na pewno bardzo zgodny z nowogrodzkimi intencjami. Siła naszego naczelnika, przedemerytowanego wciąż zbawcy narodu, opiera się na słabości przeciwnika. Kazimierz Górski mówił: „Gra się tak, jak przeciwnik pozwala”. I na razie mamy pięć zero dla nich, mniej więcej. Nie należy nie doceniać mechanizmu autodestrukcji polskiej inteligencji. W imię konformizacji naszej bańki zwię-

ramy szeregi i kasujemy każdego, kto zadaje niewygodne pytania. Jezus za akcję w świątyni i wyrzucenie z niej przekupniów byłby wykasowany z fejsbunia jako przemocowiec. Oskarżenia o przemoc to nowa, cudowna abrakadabra, mająca umożliwić zniknięcie każdego, kogo nie lubimy, kto nie pasuje do bańki. Liczy się tylko selfik poglądów i lajk, lajk, lajk. To nadużycie, które nas kompromituje, banalizując jednocześnie problem. Staliśmy się nadzwyczaj przemocowi w zwalczaniu przemocy.

Uważasz, że to przyczyna porażek naszej strony?

– Doświadczenie ostatnich miesięcy uzmysłowiło mi, że nie jest to coś, co można kojarzyć tylko z tą patriarchalną, prawą stroną naszego społeczeństwa. „U nas” jest dokładnie tak samo, tylko owinięte w elegantszy papier politycznej poprawności. Opowiedziane pseudointelektualnym żargonem, zapewniającym

poczucie wyższości. Koniec końców prowadzi jednak do triumfu kompletnej ni-jakości. Przekształcenia w magmę, którą można wlać tam, gdzie to wygodne.

A Strajk Kobiet? Ta erupcja, którą mieliśmy na ulicach po wyroku Trybunału Przyłębskiej w sprawie aborcji, też była bezwonną magmą?

– Czyżby jednak para poszła w gwizdek? Sam w ramach miejskich gier terenowych biegałem z żoną od ronda Praw Kobiet do placu Unii, podczas gdy moja córka blokowała Trasę Łazienkowską, a dwie inne maszerowały po Marszałkowskiej, całe miasto nasze. Ścigaliśmy się bocznymi uliczkami z oddziałami prewencji w pełnym rynsztunku, co przypominało sceny z „Władcy Pierścieni”, gdy atakowały siły Mordoru. Blokada za blokadą, mieszkańcy otwierali nam bramy, przemykaliśmy przez wewnętrzne podwórka. Aż w końcu znaleźliśmy się w kotle, po prostu. Miałem w sobie taką wściekłość na lata narastającej paranoi, na całą absurdalną sytuację, że byłem gotowy rzucić się pod policyjną sukę i wtedy przyszła myśl, że oni tego właśnie chcą. „Kłata, chcesz z bańki walić face-ta, który ma hełm i jest zawodowo szkolny, żeby się bić? Jeśli chcesz walczyć, to w teatrze, rób o tym spektakl, a nie strzelaj gumką do snajpera”. Warszawski kamikadze, heroizm po prostu, na miarę skromnych możliwości, oczywiście.

Nic z tego zrywu nie zostało?

– Zostało. Pamiętam jesień 2017 r. Wyjątkowo dla mnie ponurą. Wróciłem do Warszawy ze Starego Teatru w Krakowie. Pan wicepremier Gliński zapewnił mi pół roku bezrobocia i refleksji. Widziałem na ulicach brunatniejącą rzeczywistość, ataki na migrantów, atmosfera gęstniała. 19 października na placu Defilad podpalił się Piotr Szczęsny. Na zdjęciu ze spontanicznej manifestacji po tym wydarzeniu zobaczyłem dużo ludzi w dojrzałym wieku i jedną jedyną kilkunastoletnią twarzyczkę. To była moja córka. Pomyślałem, że ciągłość pokoleniowa została zerwana. I gdy porównuję to ze zdjęciami ze Strajku Kobiet, to zmiana jest widoczna na pierwszy rzut. Najnowsze pokolenie dojrzałe do własnego powstania, tylko potrzebuje jeszcze czasu.

”*Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że bardzo skrócił się dystans między oświeconą pruderią liberalnej lewicy a ciemnogrodem Jędraszewskiego*

Powstania to w naszej tradycji ryzykowna sprawa.

– Obserwuję córki, które większość życia spędzają w obcym języku, czyli mentalnie za granicą, choć nie wychodzą z domu. Internet jest po angielsku, w ogromnej większości. Gdy czegoś nie rozumieją w otaczającej ich rzeczywistości, szukają odpowiedzi w wirtualnej, gdzie nie ma granic. Mówimy: młodzi mało czytają. Ale za to ciągle czegoś słuchają i to nie tylko muzyki. Czasem pochłaniają na przyspieszonym odsłuchu: wykłady, streszczenia, podcasty, instrukcje. Patrzę na nich i myślę: „Gniew Achilla bogini głoś, obfity w szkody, który ściągnął klęsk tyle na greckie narody”. Homer. Wracamy do kultury mówionej. I ani to lepiej, ani gorzej, tylko inaczej.

Inaczej wystarczy, żeby wygrać?

– Inaczej ma szansę wymknąć się nowogrodzkiemu regułom. Zawodowi macherzy od losu potrafią sprawnie manipulować tymi, którzy grają wedle ich zasad. Cudowne, wyzwajające hasło „wypierdalać”, które sam krzyczałem z głębi serca, straciło moc, bo zaczęliśmy je krzyżeć w twarz tym, którzy szli z nami. „Wypierdalać, bo jesteś z Hołownią”, „Wypierdalać, bo jesteś Razemek!”. „Ty wypierdalać, boś od Budki”. I w ogóle Budka wypierdalać. Rachunki krzywd nas wykończą.

Jak opisałbyś jako reżyser polską scenę polityczną?

– Nie mówię po węgiersku, więc nie potrafię sprawdzić, w ilu procentach mamy

produkt lokowany – naddunajską franczyzę nad Wisłą. Czy nasza wspaniała władza tłumaczy z dziennika ustaw z Budapesztu słowo w słowo, czy jednak realizuje również własne pomysły. Niemniej nazwa Prawo i Sprawiedliwość jest równie kuriozalna jak nazwa partii Razem. No jakie razem? Jaka sprawiedliwość? A między nimi radosne „Czekam na wiatr, co rozgoni” i „Jeszcze będzie przepięknie”. Platforma zwana też Koalicją przypomina Tytusa, Romka i A’tomka na dyskotece. Dlaczego nie tańczysz? – pytają Tytusa. „Ja nie tańczę? To jest najnowszy taniec – bezruch dance”.

Czego najbardziej obawiasz się jako obywatel?

– Że przestaniemy patrzeć sobie w oczy. Spotykać się, rozmawiać. Zamiast tego będziemy kilkanaście godzin na dobę „dostarczać kontent” Markowi Zuckerbergowi, żywić internetowe, korporacyjne algorytmy, żeby się poczuć dobrze. Pandemia spotęgowała ucieczkę od rzeczywistości, ucieczkę w bańkę. Sprawia, że funkcjonujemy wyłącznie wśród ludzi, którzy myślą tak jak my, co paradoksalnie sprzyja coincidentia oppositorum.

Przyciąganiu się przeciwieństw.

– Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że bardzo skrócił się dystans między oświeconą pruderią liberalnej lewicy a ciemnogrodem Jędraszewskiego, cenzurowanie filmów, książek i artystów staje się uniwersalną pasją. Inteligencja, i nie zamieniamy tego na klasę średnią, powinna zadać sobie trud myślenia wychodzącego poza instynkt stadny i kalki postkolonialnego myślenia. To, że pandemia wpędziła nas w samotność, nie oznacza, że rozpaczliwie trzeba ją leczyć ucieczką w strefę ujutnego, bagienno-komfortu – do ludzi tak samo myślących i tak samo czujących, którzy niczym lustreczka powiedzą przecie to, co chcemy usłyszeć. Bo wtedy robi się lustro w lustrze, ślepy labirynt. A to oznacza jeszcze jedną piękną katastrofę, tyle że naprawdę mało spektakularną. Implozję. I oczywiście – broń Boże, żeby nie odstawać, niczym nikogo nie urazić! **N**

aleksandra.pawlicka@newsweek.pl